Nr. 15. We Lwowie dnia 15. kwietnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

ALLELUJA!

Różczką wiosny tknięta ziemia
Zrzuca twarde jarzmo z siebie,
Żadna zima sił żywotnych
Nie zagrzebie.
Słońce ciepłym blaskiem grzeje,
W wietrze dziwne dźwięczy granie,
Coś — jak gdyby chciało szeptać:
„Zmartwychwstanie“.

Niegdyś — od tej smutnej chwili
Upłynęło już lat krocie,
Ukrzyżowan był Syn Boży
Na Golgocie.
Wzięła górę złość i zbrodnia,
Ale wkrótce, niespodzianie
W jakąż trwogę ją wprawiło
„Zmartwychwstanie“.

Złość i zbrodnia na tej ziemi
Z dawna rządy swoje wiodła;
Albo może... czy przepadły
Dziś ich godła?
Lecz napróżno tak pokornie
Biegnie świat przy ich rydwanie,
Przyjdzie czas — że sprawiedliwość
„Zmartwychwstanie“.

Pod jej mieczem padnie ścięte,
To, co dziś się bujnie pleni,
I odrzucą jarzmo z karku
Przygnębieni...
Jako zorza, co blask ciska
Na ponury mrok w zaranie,
Podeptana prawda z mogił
„Zmartwychwstanie“.

Zadrżą tedy przed jej wzrokiem
Pionierzy „prawa pięści“,
Którym na ludzkości szkodę —
Dziś się szczęści.
Odrodzona znów na duchu,
Aby spełniać swe zadanie
Broniąc dobrej sprawy — ludzkość
„Zmartwychwstanie“.

Więc bez trwogi w przyszłość patrzcie,
Wy, bez winy uciśnieni,
Trwajcie w dobrem, trwajcie w pracy,
Czas się zmieni.
Byle nie paść łupem trwogi
W praw swych słusznych zaprzedanie,
Byle wytrwać — reszta sama
„Zmartwychwstanie“.



Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach.

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

SCENA IV.

(wchodzi służąca).

Służąca (do Malczewskiego). Pan profesor zaraz przyjdzie, prosił, aby pan zechciał chwilę zaczekać. Pani kazała przeprosić — ma migrenę. (do Wylotka). A ten stary opój tu potrzebny? Hę? — Z pewnością do butelek w kredensie się dobierał! (bierze go za ramię, aby wyprowadzić. On staje przed Malczewskim i salutuje, potem robi zwrot do drzwi i mrucząc marsza pozwala się z tyłu popychać, po każdym kroku powtarzając: Niemra, Niemra!).

Wylotek. Ra-ta-ta-ta — Ra-ta-ta-ta! Niemra. Niemra.

(wychodzą).

SCENA V.

(Wchodzi Jełowicki, w wizytowem ubraniu. Za nim służąca).

Służąca. W ten momencik biegnę do pana profesora. Niech pan będzie łaskaw tu chwileczkę zaczekać. Jak mam zameldować?

Jełowicki (dając swoją kartę). Proszę (na dźwięk jego głosu odwraca się Malczewski i poznaje go).

Malczewski. A, pan Jełowicki! (wita się z nim). Co za miłe spotkanie! Nie sądziłem, że pan jeszcze bawi w Berlinie. Mówiono mi, że pan po zdaniu ogzaminu opuścił na zawsze Ateny nad Spreą. (służąca wychodzi).

Jełowicki. Na razie praktykuję w fabryce maszyn Hoppego. Ale — nie będąc niedyskretnym — zapytam, cóż pana tu sprowadza do profesora Beńkowskiego?

Malczewski. Bardzo pospolita misja. Jako prezes tutejszego „Przytuliska dla nędzy polskiej w Berlinie“ Przychodzę prosić profesora o składkę. Ciężki rok mamy teraz, funduszów niema — a polskich wychodźców na bruku berlińskim coraz więcej: bez grosza i dachu nad głową! — Musimy wysłać z powrotem do kraju jednego, który byłby chyba skonał z głodu na ulicy, gdyby go jeden poczciwy szewczyna przypadkowo nie był poznał i do Przytuliska nie odesłał. Liczę na to, że profesor przystąpi jako członek.

Jełowicki. Doprawdy, zdejmuje mi pan kamień z serca...

Malczewski. A to jakim sposobem?

Czy Zaprzaniec?

Urywek ze wspomnień powstańca

(4) napisał **B. A.**

Ranek już się zbliżał, tak dowódcę, jak żołdaków jego, improwizowany pan Wołowski wraz z gospodynią paśli i paśli, w nadziei, że nasyceni, spokojnie sobie odjadą, gdy nagle około 5-ej zrana wpada do pokoju kozak meldując, iż znaleziono w stajni powóz i konie „powstańskie“, i że parobek jeden zeznał, że tu we dworze ukrywa się powstaniec.

Zapieniony gniewem, zarumieniony rumem, skoczył dowódca i rzuciwszy mi ukradkiem; „nie lękaj się pan“ rozpoczął taki krzyk i wrzask, tyle pięści i policzków rozdzielił i kozakom i donosicielowi, że trudno było domyśleć się sensu prowadzonej indygacji. Rezultatem jej jednak było, że pobity donosiciel (dobrowolny czy zmuszony?) stał związany pod strażą, która miała rozkaz nie pozwolić mu mówić bez zapytania dowódcy — dalej, że moje konie i powóz znalazły się zaprzężone przed gankiem, a co najgorsze, że przy piekielnym hałasie dowódcy, moja biedna pani Wiśniewska i gospodyni pana Wołowskiego, zostały zaaresztowane i umieszczone w tym powozie.!

Ja tylko, zawsze w charakterze pana Wołowskiego, nasłuchałem się massę moskiewskich uprzejmości, co nie przeszkadzało panu dowódcy pić dalej „czaj“ ze mną i żądać wódki dla żołnierzy.

Nareszcie dzień się zrobił, dano znak do wyruszenia z więźniami, a Jackowski wymyślając mi zawsze, znalazł chwilę, aby mi szepnąć po polsku: „w pół godziny po moim odjeździe niech pana tu nie będzie“, a wtedy uwierzyłem, iż ten człowiek z całą samowiedzą chciał mię ocalić.

Nie dałem sobie tego powtarzać i w pół godziny wraz z moim furmanem, który się był ukrył, jakąś fornalką pana Wołowskiego, wyjechaliśmy do najbliższego lasu, gdzie znaleźliśmy schronienie na dni kilka.

Jackowski rzeczywiście powrócił do Moszenek i ściśle bardzo mię poszukiwał napróżno.

Biedna pani Wiśniewska ponoś na Sybir była wysłaną, gospodyni zaś kilka miesięcy sie-

Jełowicki. Bo i ja w podobnej misji do niego przychodzę. Chodzi mianowicie o urządzenie wenty dobroczynnej na rzecz szkółek polskich. Tutejsze panie urządzają. Należę do komitetu. Kazano mi pójść do profesora Beńkowskiego — mówił ktoś, że to Polak, ale nikt go bliżej nie zna. Niedawno zresztą powołany został do Berlina ze Strasburga. Miałem pewne wątpliwości, czym nie pod fałszywy trafił adres, ale skoro pan...

Malczewski. O, panie kolego, z mojej obecności tu niech pan zbyt optymistycznych wniosków nie wysnuwa. Wyznam otwarcie, mam pewne — i to może uzasadnione — wątpliwości co do polskości profesora i jeżeli tu przyszedłem, to...

Jełowicki. Więc sądzi pan, że to nie Polak — a raczej zgermanizowany?

Malczewski. O, ja bynajmniej nie sądzę. Nie chciałbym przesądzać. Widzi pan — kwestja jest niejasna. Ja cokolwiek mam danych do jakichś przypuszczeń, ponieważ wieś moich rodziców w Poznańskiem graniczy o miedzę z Księżopolem, własnością Beńkowskich. A raczej, źlem się wyraził; profesor żadnych praw własności do Księżopola nie ma. Właścicielem, jest jego rodzony brat. Profesor, jako młody docent uniwersytetu, był zrazu w Getendze, przeniósł się potem na katedrę historji do Strasburga, tam się ożenił — i to z Niemką — to go oddaliło jeszcze bardziej od rodziny, tak, że Beńkowscy z Księżopola, jak się zdaje, dopiero z gazet się dowiedzieli, że profesor objął katedrę w Berlinie. A Beńkowski z Księżopola, patrjota — jakich mało. Ale bieda, bieda ich tam w Księżopolu ciśnie do samej ziemi. Rychło patrzeć, jak im wieś na licytację wystawią.

A tu (wskazując wokoło) przepych — aż kapie... Podobno profesor wziął miljon z żoną.

Jełowicki. Wie pan, smutno pomyśleć, jak się u nas układają stosunki. Nie dziwię się, jeśli germanizują się ludzie z niższych warstw — tam warunki silniejsze są od ich woli; ale pomyśleć, że coraz częstszymi są takie oto wypadki...

Malczewski. Jeszcze raz zastrzegam się, że to, com mówił, uprawnia co najwyżej do przypuszczeń. Zresztą nie wiem. Pisał mi ojciec, bliżej tego nie komentując, abym pod jakim pretekstem zapoznał się z profesorem i postarał się przedstawić się jako sąsiad jego brata — a przytem zwrócił uwagę mimochodem na rozpaczliwe położenie Księżopola. Kolonizacja po nie ręce wyciąga. Wszystkie środki ratunku wyczerpane.

Jełowicki. Więc pan tak dwie pieczenie przy jednym rożnie...

Malczewski. A, otóż i profesor.

SCENA VI.

Profesor. Bardzo miło mi powitać panów.

Jełowicki (przedstawia się). Jełowicki.

Profesor (do Malczewskiego, trzymając obie ich karty w ręku) A pan, pan Malczewski. Zdaje się, że miałem już przyjemność gdzieś pana poznać.

Malczewski. Ależ tak, panie profesorze: na balu prasy miałem zaszczyt towarzyszyć damom pana profesora.

Profesor. A, prawda, prawda, teraz poznaję. Pan był również łaskaw zaszczycić nas swą wizytą... Niestety, obydwa razy nie było mnie w domu. Mówiła mi żona i córka. Bardzo były rade.

---

działa w kozie, a prawdziwy pan Wołowski grubą kontrybucją Moskalom zapłacić musiał!

Jeśli żyją, niech mi to wybaczą, lecz i śmierć moja od tych cierpień uwolnićby ich nie by mogła.

W dwa lub trzy dni potem nocną porą z szefem uformowanej policji narodowej, podjechaliśmy pod ogród moszenkowski, skąd wydobyliśmy broń, okupioną kosztem tak drogim.

Przez parę tygodni potem próbowałem jeszcze borykać się z fatalnym losem powstania, kilka razy jeszcze zdołałem wymknąć się ze szponów moskiewskich, aż party okolicznościami w śnieżnej nocy z dnia . na 4. maja przeszedłem granicę i w ciepłej pościeli, a gościnnym domu nieznanych mi a zacnych ludzi w Narolu zaznałem długo nieznanego mi spoczynku!

Od wypadków tu opisanych minęło już prawie 36 lat, a zagadka psychologiczna ocalenia mego w Moszenkach, została zawsze dla mnie zagadką.

Wielu ludzi z Lublina od tego czasu widziałem, a wszyscy mi zgodnie powtarzali, że policjant Jackowski, jako renegat i służalec moskiewski, powszechnie był tam znany.

Dlaczego jednak on, który wszystko poświęcił karjerze i powodzeniu, cofnął się z całą świadomością od wydania mnie na śmierć, mnie, którego zupełnie nie znał, gdy przez to mógłby był większe korzyści i nagrody osiągnąć? — na to nie umiał mi nikt odpowiedzieć.

Czyż w człowieku, tak nisko upadłym, za jakiego on uchodził, tliłaby jeszcze na dnie iskierka sumienia? Trudno temu wierzyć, a jednak tak być musiało, bo trudniej jeszcze uwierzyć w Walenrodyzm Jackowskiego, który tak „chytro“ umiał pokierować sprawą, iż za wyprawę Moszeńską dostał podobno moje konie i powóz z dodatkiem kilkuset rubli.

Czy Jackowski był zaprzańcem z przekonania?, tego nie wiem, lecz to wiem, iż był moim zbawcą w Moszenkach, był owem narzędziem w ręku Opatrzności, która mi inny kres naznaczyła!

Zagadka dla mnie została zagadką, a Bóg ważąc na swej szali ten jego dobry uczynek, osądził, czy on zaprzaniec?



Malczewski. Pan profesor może dlatego sobie odrazu mnie nie przypomniał, że na balu nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem, żeśmy Polacy...

Profesor. A, istotnie, istotnie...

Proszę, niechże panowie siadają, proszę.

Malczewski. Majątek ojca mego sąsiaduje z rodzinnym majątkiem pana profesora.

Profesor. A, tak, istotnie coś sobie teraz przypominam. Dawne czasy.

Cóż panów do mnie sprowadza?

Jełowicki. Są to właściwie dwie sprawy. Zeszliśmy się z panem Malczewskim tu przypadkowo.

Malczewski. Ale obie sprawy noszą jeden i ten sam charakter.

Profesor. Proszę bardzo. Czy panowie tu na studjach bawią?

Jełowicki (przejęty swą misją, gubi się we frazesach). Poniekąd tak. — Ale zupełnie innego rodzaju rzecz sprowadza nas do pana profesora. Dowiedziawszy się otóż, że nasza kolonja polska w Berlinie powiększona została o cenną osobę pana profesora, z czego nader szczupłe grono inteligencji polskiej w Berlinie ogromnie się cieszy, przychodzę w imieniu komitetu, urządzającego wentę na rzecz szkółek polskich w Berlinie, z uprzejmem zapytaniem, czyby profesor nie raczył do komitetu przystąpić. Pozwolę sobie tu wyrazić przekonanie, że sam już współudział pana profesora w zamierzonem przedsięwzięciu, choćby ograniczał się tylko do dania nazwiska i jednej bytności w porze wenty — już by niezmiernie dużo znaczył dla nas, dając nam moralne poparcie...

Profesor. A pan, panie Malczewski? Czem panu mogę służyć?

Malczewski. Ja mam cokolwiek zbliżoną prośbę do profesora. Notabene — widzi profesor, że ta nasza Polonja berlińska ma czujne oko i każdego nowo przybyłego Polaka zaraz wypatrzy — przychodzę jako prezes istniejącego tu towarzystwa „Przytulisko“. Celem jego jest ratowanie biednych emigrantów naszych, jakich tu na bruku setki całe marnują się z uszczerbkiem dla naszego społeczeństwa. O ile możności odsyłamy do kraju tych wszystkich, którzy tu utrzymać się nie są w stanie — potrzebujemy na to funduszów — i mam nadzieję, że w panu profesorze wolno mi będzie powitać nowego członka — ofiarodawcę.

Profesor. Panowie pozwolą, że na ich życzenia odpowiem równocześnie. Przedewszystkiem jedno pytanie: wszak prawda, że zarówno ta wenta, jak i ta ochrona dla biednych mają cele o wyłącznie polskim charakterze?

Malczewski. Tak jest, panie profesorze. W jednym razie chodzi o przeciwdziałanie germanizacji dzieci polskich, w drugim zaś o uratowanie społeczeństwu polskiemu kilkunastu, lub kilkadziesięciu ludzi rocznie, którzy bez naszej pomocy zginęliby wśród niemieckiego proletarjatu.

Profesor. Wybornie. Ułatwia mi pan odpowiedź. Otóż przedewszystkiem — jakkolwiek z przykrością — odmownie odpowiedzieć muszę na życzenia zarówno pana, jak i pana. Dla uniknięcia dalszych w przyszłości możliwych nieporozumień pozwolę sobie tu panom w krótkości zaznaczyć motywy tej odmowy. Otóż — moi panowie— sądzę, że tak zwana walka z germanizacją nietylko jest bezskuteczna, ale nadto sprzeciwia się celom cywilizacji. Popierwsze, ponieważ obudza walkę narodowościową, a powtóre, ponieważ usposabia do jednostronnego i ujemnego osądzania kultury niemieckiej, od której polska musi i powinna się dużo uczyć. — Moi panowie — przez kilkanaście lat mieszkałem pomiędzy Niemcami, znalazłem wśród nich drugi kraj rodzinny, nikt z nich mi nie wyrzucał, żem z pochodzenia Polak — i nigdy ręki nie przyłożę do jednostronnych dążeń narodowościowych.

Jełowicki (powstając). W takim razie pozostaje nam tylko najuprzejmniej przeprosić pana, żeśmy go fatygowali...

Malczewski (powstrzymując Jełowickiego gestem). Pan profesor pozwoli... Dziękuję bardzo za wyjaśnienie i w przyszłości zastosuję się do niego. Spełniłem zresztą jedynie przyjęty na się obowiązek, gdym trudził pana profesora moją propozycją.

Pozatem jednak pragnąłem się przedstawić profesorowi, jako bliski sąsiad pana Stanisława z Księżopola. Ojciec mój bardzo mi zalecił, abym panu profesorowi złożył moje uszanowanie. Więc też gdym wczoraj w Przytulisku znalazł jednego biedaka, którego przyprowadzono do nas nawpół zagłodzonego i gdy okazało się, że pochodzi właśnie z Księżopola, przypomniałem sobie polecenie ojca.

Profesor. Bardzo panu dziękuję. Istotnie teraz cokolwiek przypominam sobie ojca pańskiego. Proszę mu przesłać odemnie ukłony. A cóż to się stało z tym człowiekiem z Księżopola?

Malczewski. To jeden z wychodźców, z którymi się tak dzieje, jak z niedołężnymi bocianami, które, nie mogąc ulecieć za morze, padają tam, gdzie ich siły opuszczą. Ogólna nędza w Księżopolu skłoniła go do opuszczenia kraju.

Profesor. Nędza, powiada pan? To tam jest istotnie taka nędza? Czy to niema jakich środków zaradczych na to? Istotnie wiem, że źle się dzieje w Księżopolu — pisał mi brat, że źle.

Malczewski (z ironją). O, jeżeli pan Stanisław z Księżopola pisał o tem do pana, to już musi być ostateczny termin.

Profesor (dotknięty). Dlaczegoż to?

Malczewski. Bo on całe życie potrafił walczyć z ciężkiemi warunkami w kraju, zawsze w pierwszym szeregu, nigdy nie wydając słowa skargi... A wie pan profesor, że założenie „Przytuliska“, to jego dzieło — z czasów, kiedy był w Berlinie studentem? Mógłbym w aktach odnaleźć pierwsze jego podpisy.

Profesor (cokolwiek rozdrażniony). Tak — to wiem, że on zawsze gotów był dla drugich na-

kładać karkiem, lub kieszenią. I to go niszczyło zawsze i niszczy...

My właśnie na tym punkcie rozchodzimy się ze sobą — bo on gotów był zawsze wszystko stracić, aby — jak mówił — ratować narodowość. Cóż jest narodowość? Forma przejściowa rozwoju historycznego — nic więcej. Rozumiem ludzkość, jako taką, — (wydobywając z kieszeni dwudziestomarkówkę). Proszę pana, panie Malczewski — to jednorazowa ofiara dla tego biednego człowieka. Jeżeli by się nadał na portjera, możebym go przyjął do siebie.

Malczewski. O nie, panie, profesorze. On chce wracać do kraju. Mówi, że gdy zajrzał głodowej śmierci w oczy na obcym bruku „ocknęła“ się w nim dusza i zatęsknił do powrotu.

Profesor. Jak powiedział? Jak?

Malczewski. Że się w nim coś ocknęło... Żegnam pana profesora.

Jełowicki, Żegnam,

Profesor. Żegnam panów. (Do Malczewskiego). Moja żona będzie rada ujrzeć pana kiedykolwiek znowu.

(Wychodzą).

D. c. n.



Z Syberji i Kamczatki.

Gerwazy Gzowski.

(Ciąg dalszy).

Gdy uwięziono wielu członków czynnych, biorących udział w tak nazwanym „spisku Konarskiego“, Gerwazy potrafił ujść cało, uniknął więzienia i prowadził dalej gorliwie prace konspiracyjne. Odznaczał się w tę porę „zapałem niezmiernym i krasomóstwem porywającem“, jak o tem świadczyli jego znajomi, a pomiędzy nimi pani Maciejowa Smoleńska, z domu Ciemniewska*), bawiąca na Syberji przy mężu swoim, zesłanym do robót ciężkich w kopalniach. Gerwazy wywierał w Warszawie „wpływ wielki na otoczenie“, ale też nie długo cieszył się wolnością; uwięziony, sądzony i zesłany został już w roku 1844, na lat 20 do kopalń daurskich, a to, jako organizator związku: „Zjednoczenie narodu polskiego“. Przebywał zrazu w kopalniach, następnie mieszkał w Aleksandrowsku i w mieście, zwanem „Nerczyńsk fabryczny“, czyli „Wielki zawód Nerczyński“ (Balszoj Nerczyńskij zawod). Tu koncentrowała się wtedy główna działalność zarządu górniczego i tu skupiała się ówczesna Polonja wygnańcza, co trwało aż do roku 1857. Mając w czasach późniejszych swego pobytu na Syberji udzielone pozwolenie na wyjazd z miejsca, gdzie był internowany, Gzowski zajął się handlem; nie chodziło mu jednak, jak i żadnemu z jego kolegów ówczesnych, trudniących się kupiectwem, lub przemysłem, o zyski wielkie, o dorobienie się fortuny kosztem ludności miejscowej, lecz miał na celu wspieranie materjalne biedniejszych kolegów wygnania i dobro mieszkańców. Gdy objeżdżał na wózku dwukołowym, zwanym „tyrgą“ na Syberji, z towarem wsie okoliczne, docierając na południe do stanicy „Curuchajtus“, nad Arguniem, porównywano go do apostoła, szerzącego oświatę, moralność, propagującego pomiędzy ludnością potrzebę trzeźwości, nauczającego gospodarstwa domowego, chowu bydła, koni, drobiu etc. Gerwazy i jego koledzy, jak Brynk, Bohre, Gruszecki, Więckowski i inni, sprowadzali z kraju nasiona roślin warzywnych, pastewnych, zboża i kwiatów ogrodowych, rozdawali je darmo gospodarzom i gospodyniom wiejskim, pod warunkiem, ażeby zajmowali się pilnie rolnictwem, uprawą jarzyn i pielęgnowaniem kwiatów. „Nic tak zbawiennie nie działa na ludzi, jak przykłady -- powiadali oni, — to też wygnańcy swoim przykładem pobudzali wieśniaków i kupców do zakładania inspektów, ogrodów warzywnych, ogródków kwiatowych i ogrodów owocowych. Żona kupca Istomina, sławnego w Daurji z chowu merynosów, hodowli mułów i różnych gatuntów drobiu, — Anna Iwanowna, z domu Razgildiejewna, „członek korespondent“ kilku towarzystw uczonych w Rosji europejskiej, wychowywała się w „Nerczyńsku fabrycznym“, zawdzięczała ona swoje wiadomości przyrodnicze i ogrodnicze wygnańcom. Mieszkając we wsi kozackiej nad Ononem, zwanej „Akszą“, dzisiaj do godności miasta powiatowego podniesionej, uprawiała tutaj co roku w inspektach ogórki, melony i kawony; miała także w swoim ogrodzie owocowym, jedynym za moich czasów w tej części Daurji, sadzone krzaki porzeczek, malin, agrestu i miejscowej jagody „machówką“ zwanej. Dziwnie przyjemne uczucie wywoływały kwiaty, w jej ogródku hodowane, noszące nazwy naszych ziomków, a szczególniej rzewne budziły wspo

*) Urodzona 1810, umarła 1898. Dom Smoleńskich w Irkucku stanowił punkt atrakcyjny dla wygnańców.

mnienia dwa gatunki, poświęcone pamięci nieśmiertelnej w historji poświęcenia kobiety, Albiny Migurskiej, której popioły spoczywają na cmentarzu w „Wielkim zawodzie Nerczyńskim“**). Jeden z tych gatunków, mianowicie lilja biała, nosiła nazwę Albiny, drugi nieśmiertelnik, miano Migurska. Pszenicę zasiewaną na polach Akszyńskich nazywano Polka. Gruszecki, Gzowski i Zygmunt Wałecki zajęli się uszlachetnieniem rasy koni miejscowych i bydła; sprowadzili oni z gubernij Tomskiej ogiery, rasy tak zwanej „Tomskiej“, znacznie większe od Zabajkalskich, a z Irkucku dostawali krowy i stadniki, rasy „Chołmogorskiej“, pochodzącej z północy Rosji europejskiej. Za ich przykładem poszli miejscowi mieszkańcy i już w czasie naszej bytności w Daurji widzieliśmy tabuny Chiłkowskiego, Perfiljewych, Timofiejewych, uszlachetnione po części drogą wskazaną. Dwa konie wyścigowe „Bieguńcy“, zwane „Kiersecz“ i „Chaptagaj“, ze stadniny Chiłkowskiego, uznano za godne stajni cesarskiej w Petersburgu, bo ofiarowano je w podarunku od kozaków konnych w Daurji Wielkiemu księciu „Aleksiejew'owi Aleksandrowiczowi“, gdy ten wracał ze swej podróży zamorskiej, drogą lądową, przez Syberję.



Gzowski, wraz z innymi hodowcami koni i bydła na wygnaniu, wprowadzili używanie zgrzebła, okrywanie koni w zimie derami etc. Zrazu uważano taką czynność i w ogóle delikatniejsze obchodzenie się ze zwierzętami domowemi, za rzecz szkodliwą, mającą jakoby wywierać wpływ ujemny na wytrzymałość ras miejscowych, żartowano nawet z Gzowskiego, jak mi powiadała pani Istomina, że jego krowy i konie były staranniej czesane, niż głowy mieszkanek wsi okolicznych i ich dzieci i lepiej karmione, niż lud roboczy w kopalniach Nerczyńskich, lecz gdy następnie się przekonano, że ludzkie obchodzenie się z końmi i bydłem, lepsze ich karmienie i pieczołowitsze dozorowanie nietylko łagodzi charakter dziki tych zwierząt, przywiązując je do rąk pielęgnujących, ale nadto działa umoralniająco na samych hodowców, na co główny kładł nacisk Gzowski, wtedy dopiero przyznano słuszność radom i wskazówkom jego i sam słyszałem, jak gospodyni powiadała, że „od czasu, jak zaczęto czesać i umywać konie i krowy, same kobiety staranniej się czeszą i głowy swych dzieci staranniej utrzymują, niż to było uprzednio, bo wstyd byłoby, gdyby widziano, że krowy są czystsze od ludzi“, również karmienie parobków polepszyło się znacznie od chwili, gdy karmić zaczęto jadłem gotowanem krowy dojne. Widziałem następnie, że konie, hodowane według zasad Gzowskiego, nie ustępowały pod względem zmyślności swojej i przywiązania do człowieka koniom europejskim, jednocześnie obserwowałem dowody przywiązania i ze strony ludzi, tak np. Perfiljew pielęgnował starego konia, do jazdy już niezdatnego, przez wdzięczność za jego usługi dawniejsze i za przywiązanie do rodziny gospodarza; to samo miało miejsce we wsi Kirpicznej nad Ononem, gdzie u kozaka, Michała Szczegłowa, koń 35 letni żył na łaskawym chlebie, gdyż był tak przywiązany do dzieci, jak pies najwierniejszy, sam zbliżał się do płotu, ażeby dzieciom dać możność dosiąść go. O koniach Gzowskiego opowiadano, że ich pętać, albo „trynożyć“ t. j. wiązać pętem jednym trzy nogi końskie, nigdy nie potrzebował, puszczał je wolno na paszę, a na głos jego same przychodziły do rąk. „Nic tak nie uszlachetnia, nic tak nie podnosi człowieka na poziom altruizmu“ powiadał Gzowski, „jak ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami, ten na pozór tak małoważny czynnik społeczny, odgrywa jednak niezmiernie ważną rolę w życiu narodów, on czyni bowiem ludzi moralniejszymi, cnotliwszymi, bardziej zgodnymi w pożyciu, gdy przeciwnie barbarzyńskie obchodzenie się ze zwierzętami zatwardza serca, robi człowieka zwierzęciem, brutalnym i egoistą“. „Zły człowiek nie kocha zwierząt“. „Naród, nie umiejący miłować zwierząt, jest barbarzyński, mimo swej pozornej cywilizacji“. Miłością ku sobie umiał Gzowski przywiązywać wszystkich, podbijał nawet tam na wygnaniu każdego, a mianowicie dobrem słowem, uprzejmością, grzecznością, powagą i taktem. Dla dzieci miał zawsze łakocie, zabawki, dla wyrostków pierścionki, kolczyki, a dla biednych całe swoje mienie. Opowiadano mi nad Orguniem, że razu pewnego wrócił Gerwazy ze swej wędrówki kupieckiej do domu bez bielizny, bo ją oddał ubogim. Na handlu, oczywista rzecz, że Gzowski majątku nie zrobił, wrócił do kraju bez kapitałów. (C. d. n)..

Dr. B. Dybowski.

**) Historję życia tej niezwykłej kobiety, rodem z Galicji, z domu Wiszniowskiej, podał w swoim dziele Agaton Giller. „Opisanie Zabajkalskiej krainy w Syberji 1867. Tom I. str. 262 — 266. Powtórzył ją Maksimów. „Syberja i ciężkie roboty“. Część VII. „Przestępcy polityczni i państwowi“. Str. 76 — 77. Nadto opis próby ucieczki Migurskich, opisany został szczegółowo w „Otieczestwiennych zapiskach“ roku 1846.

Z pomroku.

Coś się we mnie wypaliło,
Coś zagasło... Co? — Ja nie wiem...
Może ducha mego siła,
Może było mi zarzewiem
Jakichś ogni, co gdy zgasną,
Serce w piersi spopieleje?
Coś, zamknęło mi się w życiu,
Jak gdy ciężkich bram wierzeje
Przed oczyma się zatrzasną!
Coś, jak łan po gradobiciu,
Położyło się na spanie,
Coś — co nigdy już nie wstanie...
Coś skończyło się, wygrało,
Pękła struna u cytary,
A na polu pusto — biało,
A dokoła pomrok szary...

Zawrat.



Z pism i książek.

Franciszek Holtzendorf. Znaczenie opinji publicznej w życiu państwowem. Warszawa nakład Bronisława Natansona rok 1900.

O doniosłości opinji publiczniej słyszy się często i czyta dużo. Rzadko jednak spotykać można zdania, określające ściśle, czem ona jest, jak się tworzy i jakie są granice jej wpływu, książka Holtzendorfa stara się dać odpowiedź na powyższe pytania.

Autor zaczyna od pobieżnego rzutu oka na historyczny rozwój opinji publicznej, począwszy od świata starożytnego. Następnie stara się określić, czem ona jest. Aby dać odpowiedź dokładną, rozpatruje ją w stosunku do pojęć, którym ona zasadniczo przeciwstawioną być może:

1. »Opinja publiczna w przeciwstawienia do opinji indywidualnej. Istotna opinja danego społeczeństwa może być zupełnie różną od sumy wszystkich wypowiedzianych, w danym czasie opinji indywidualnych, albowiem nie potrzebuje ona nieustannie i w każdej chwili udowadniać głośno swojego istnienia. Może ona milczeć, a jednak istnieć. Nie jest również koniecznem, by zawierała w sobie wszystkie indywidualne opinje. Nie przestaje być faktem realnym nawet wtedy, gdy jej prawomocność i postulaty nie znajdują uznania«.

2. Opinja publiczna w przeciwstawieniu do organów rządu. Walczy ona często z przedstawicielami władzy. Nawet w państwach konstytucyjnych rząd nie zawsze, zdaniem autora, idzie zgodnie z opinją publiczną, Nie można bowiem żądać od mężów stanu, aby uważali się obowiązanymi do słuchania jej we wszystkich punktach. Przeciwnie, bywają nawet chwile, kiedy stanowcze sprzeciwianie się jej żądaniom »jest obywatelskim obowiązkiem politycznego działacza«.

3. Opinja publiczna w przeciwstawieniu do opinji stronnictw politycznych. Często większość parlamentarna ściąga na siebie gromy ze strony opinji publicznej.

»Istotę parlamentaryzmu angielskiego stanowi zasada, że każde ze stronnictw politycznych zawczasu i świadomie uznaje, iż pozbawionem być może poparcia ze strony opinji publicznej, a przez to samo przyjmuje niejako moralne zobowiązanie poddania się nieodwołalnym jej wyrokom.... za właściwą opinję publiczną uznać musimy tę..., którą zgodnie wyznają oba walczące stronnictwa... opinja ta polega na tem, że dawać, lub odejmować ministerjom prawo rządzenia i kierowania nawą państwową może jedynie większość, wychodząca bezpośrednio z urny wyborczej«.

4. Opinja publiczna w przeciwstawieniu do opinji rzeczoznawców.

5. Opinja publiczna w przeciwstawieniu do opinji pojedynczych warstw społecznych.

Holtzendorff przytacza przykład tego przeciwieństwa w Niemczech. Ma tu na myśli pojedynki, potępiano przez opinję publiczną, a tolerowane i zalecane nawet przez wojskowych, jako korporację.

Autor cytuje Sareria Seolari'ego, który zaznacza, że opinja publiczna »nietylko polega na pewnej kombinacji poglądów, lecz w większym daleko stopniu na skojarzeniu tych poglądów z pewnym szeregięm czynów i na wzajemnym ich na siebie oddziaływaniu«.

Według powyższego poglądu wzoruje swe zapatrywania i Holtzendorff.

Zanim przystąpimy do dalszych rozdziałów rozbieranego dziełka, zastanowimy się w krótkości nad wyżej zaznaczonymi poglądami autora.

Przyznać musimy, że nie możemy z nich wyrobić sobie jasnego pojęcia o opinji publicznej.

Rozumiemy przeciwieństwo opinji publicznej do indywidualnej dlatego, że w społeczeństwie są jednostki, poglądy których odbiegają mniej więcej daleko od ogólnego nastroju. Rozumiemy również przeciwieństwa opinji publicznej do organów rządu tam szczególnie, gdzie istnieje rząd absolutny.

Przy rządzie parlamentarnym może się trafić, że opinja publiczna, wyrażająca się w prasie, zgromadzeniach i t. p. przeciwną będzie przedstawicielom władzy, — ale z tego nie wynika, aby przy ustroju parlamentarnym z powszechnem głosowaniem, opinja publiczna była stale czemś zupełnie odrębnem od opinji izby poselskiej i ministrów, którzy są przedstawicielami jej większości.

Z tych samych powodów nie uważamy, aby istniało przeciwieństwo stałe między opinją publiczną, a opinją stronnictw politycznych. Niema bowiem i być nie może dziś jakiejś ogólnej opinji.

Ciekawi jesteśmy, jaką naprzykład opinję uważać mamy w Galicji za publiczną i jakie punkty styczne

znaleźć można między kliką stańczykowską trójlokajską, a stronnictwem ludowem.

W czasach ostatnich stańczykowska prasa naruszała najprostsze prawidła przyzwoitości politycznej.

W sprawach ogólno narodowych, stańczycy nie mogą się zejść w poglądach swych ze stronnictwem demokratycznem.

Gdzie więc jest tu opinja publiczna, która stoi po nad partjami, stanami i t. p.?

W chwilach niezwykłych, w czasie wojny naprzykład, dziś jeszcze można spotkać pewną jedność opinji publicznej, wypowiadającej się przeciwko wrogom ojczyzny. Ale w czasach zwykłych niema opinji publicznej, stojącej po nad stronnictwami.

Holtzendorff cytuje czasy rewolucji francuskiej z 1789 r. na dowód potęgi opinji publicznej, zapomina tylko, że wszyscy ci uczeni i literaci, wygłaszający idee wolnościowe, tworzyli w mniejszym, lub większym stopniu stronnictwo polityczne, byli wyrazicielami dążności trzeciego stanu, choć nie wyłącznie, ale przeważnie.

Zapewne, w każdem społeczeństwie jest pewien zasób poglądów wspólnych ogromnej większości jego członków i odnoszących się do takich faktów, jak zabójstwo, złodziejstwo itp. Po za tem jednak, w sferze czysto politycznej, panuje taka rozbieżność poglądów i dążeń, która uniemożliwia istnienie jakiejś jednolitej opinji publicznej.

Jeżeli w Anglji torysi i wigowie ulegają niekiedy jednej opinji publicznej w kwestjach politycznych, to dlatego, że stronnictwa te dzisiaj niezbyt różnią się od siebie. Na tę ostatnią okoliczność złożyła się cała historja Anglji, którą trudno w kilku słowach opowiedzieć; w miarę jednak demokratyzacji społeczeństwa angielskiego, w miarę tego, jak warstwy niższe zaczną się uświadamiać i brać udział w życiu publicznem — ta jedność opinji publicznej będzie znikała, a w parlamencie, oprócz dwóch wielkich partji, zjawi się więcej, niekoniecznie małych.

Nad przedmiotem tym zatrzymaliśmy się dłużej, dlatego, że uważamy za rzecz szkodliwą łudzenie się, co do doniosłości opinji publicznej. Złudzenie takie odwraca tylko uwagę od polityki określonej i celowej. Można nad tem ubolewać, jeżeli kto chce, że opinji publicznej jednolitej, a potężnej niema; nie podobna jednak zamykać oczu na fakty oczywiste, których nam życie współczesne nie szczędzi.

Holtzendorff dalej zastanawia się nad powstawaniem opinji publicznej; słusznie zaznacza, że w społeczeństwach małych, będących w niższej fazie rozwoju, opinja publiczna jest jednolitą, że następnie, w miarę rozwoju, staje się ona zmienniejszą i rozmaitą.

Autor dość długo zastanawia się nad wpływem środków komunikacji i prasy na rozwój opinji publicznej, zaznacza, że życie współczesnego człowieka cywilizowanego jest podległe wielkiej ilości wrażeń, które działają na ludzi szybko, stwarzając odpowiedni nastrój psychiczny, łaknący wrażeń.

Holtzendorff sądzi, że dziś ludzie czytają przeważnie gazety, broszury zaś i dzieła polityczne nie wywierają tego wpływu, co dawniej. Twierdzenie to wydaje się nam nieuzasadnionem. Nigdy zagadnienia społeczno-polityczne nie były przedmiotem tak poważnych badań, jak obecnie, ciągle wychodzi mnóstwo dzieł w tym kierunku; jeżeli zaś prace te znajdują nakładców, to widocznie są kupowane i przynoszą im zysk. Prasa przedewszystkiem rozszerzyła koło czytelników, nie wpłynęła zaś ujemnie na ludzi poważniejszych, nie zadawalniających się wyłącznie pismami codziennemi.

Autor ubolewa, że rozwój partyjności w piśmiennictwie uniemożliwia wypowiadanie zdań niezależnych, przez ludzi do żadnej partji nie należących.

W zdaniu tem jest trochę prawdy, ale nie cała prawda, bo w granicach różnych partji powstają frakcje, wypowiadające się dość niezależnie, przytem w każdym kraju, po za obrębem pism partyjnych, jest pewna ilość pism niepartyjnych.

Dlatego też, w twierdzeniu autora, że dawną cenzurę państwową zastąpiła cenzura partyjna, jest wiele bardzo przesady.

Nieuzasadnionem jest, zdaniem naszem — i inne twierdzenie autora, że środki komunikacji, prasa i t. p. wpływają w czasach najnowszych w kierunku niwelacji społecznej.

Bogactwo naszej cywilizacji, żyjącej nietylko teraźniejszością, lecz przeszłością i przyszłością — uniemożliwia jednostajność. O ile zasób myśli, uczuć i chęci jest większy w miarę rozwoju cywilizacji, o tyle trudniej jest, aby one zostały w sposób jednaki skoordynowane w pojedynczych umysłach. Społeczeństwa stają się do siebie podobniejsze, jednostki — nie, jak słusznie zaznaczył Durkheim.

Holtzendorff przyznaje z jednej strony znaczny wpływ opinji publicznej na rządy, z drugiej jednak obawia się zbyt wielkiego wpływu prasy codziennej.

»Najgorsze wszakże skutki pociąga za sobą taki stan rzeczy, gdy samo wykonywanie prawa pozostaje w zależności od wpływów prasy miejscowej, jak widzimy np. w administracji niektórych miast Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jeżeli w miastach amerykańskich jest źle, jeżeli prasa jest nieodpowiednią, to zależy to od całego szeregu warunków miejscowych, od strasznej przewagi ekonomicznej kapitalistów; tak, iż trudno z przykładu tego wyprowadzać wnioski ogólne.

W końcu książki autor zwraca bardzo słuszną uwagę na zaniedbanie społeczno-politycznego wykształcenia. Przez to ostatnie chciałby on podnieść prasę i urobić opinję publiczną tak, aby opierała się na po wadze wiedzy.

Przyswojenie książki Holtzendorffa naszej literaturze jest pomysłem szczęśliwym. Nie zawiera ona wprawdzie myśli nowych, nie formułuje ściślej starych, ale porusza w sposób łatwy wiele zagadnień ważnych i pobudza czytelnika do myślenia.

L. Kulczycki.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.